

**JÓZEF IGNACY
KRASZEWSKI**

SZPIEG

Józef Kraszewski

Szpieg

«Public Domain»

Kraszewski J.

Szpieg / J. Kraszewski — «Public Domain»,

Warszawa, rok 1861. Po upadku powstania listopadowego społeczeństwo polskie organizuje się przeciwko carskiemu zniewoleniu, powstają tajne organizacje patriotyczne, w których działa głównie młodzież akademicka. Ale i carski aparat represji nie przestaje działać, rozbudowuje swoją siatkę szpiegowską, do której należą głównie Polacy. Szpiegiem jest również Adam Pressler, uczestnik powstania listopadowego, który zarobione pieniądze najczęściej przepija. Nie wie o tym, że jego własny syn działa w jednej z organizacji, która przygotowuje wystąpienie zbrojne. Pod wpływem wyrzutów sumienia postanawia on zerwać ze szpiegostwem po wykonaniu ostatniego zadania, którego efektem jest aresztowanie młodzieży należącej do podziemnej organizacji. Wśród nich jest syn Adama. Co w tej sytuacji zrobi mężczyzna?

Józef Ignacy Kraszewski

Szpieg

Idąc w dół Bednarską ulicą ku Wiśle, minawszy hotel Smoleński po prawej ręce w domu zajęтым przez różnych rzemieślników a od ulicy dającym schronienie zagadkowym płci obojęd mieszkańcom, jest na dole rodzaj szynkowni nazywającej się bilardem. Nad oknami lokalu wisi tablica z namalowanymi dwoma kijami, trzema kulami piramidalnie ułożonymi, i napisem:

Bilart pywo i różne tronki.

Na lewo od bramy w pierwszym pokoju posypanym piaskiem stoi w istocie bilard staruszek, który koleją z Krakowskiego przedmieścia, przez różne przechodząc ulice, dostał się aż na Bednarską. Ztąd, jeżeli go jaka katastrofa nie spotka, wywędruje już chyba do małego miasteczka na prowincję. Do głównej sali dość ciasnej, przypiera jeszcze drugi pokój ze czterema stoliczkami białymi, dla amatorów piwa, i ciemna komórka gdzie gospodyni, służąca i całe zapasy tego zakładu są złożone. Zwykle we dnie zupełnie tu bywa pusto, służący za markiera chłopak spoczywa wyciągnięty na dwóch krzesłkach, a dystrybutorka piwa drzemie w drugim pokoju. Ale w pewnych chwilach dnia, i w pewnych dniach tygodnia ożywia się ten lokal wielkim przyływem czeladzi rzemieślniczej i robotników z sąsiednich warsztatów. Pomimo to handel idzie bardzo lichy, a wdowa co go utrzymuje chciałaby sobie przepytać inny chleba kawałek. Większe bawarye stolicy pochłaniają wszystkich opiwoszów, muzyka pociąga do ogródków, a mała bawaryja musi się obywać tymi, którzy nie wiele mają czasu i nie dużo pieniędzy.

Ma ona jednak swoich wiernych zwolenników, bo nałóg nawet tak niepozorne miejsce znośnem i miłym uczynić może. Pani Szymonowa kobieta, która wiele nieszczęść przeszła w życiu i wydobyła się z nich smutną i wzdychającą, tłustą i podstarzałą, przy pomocy służącej dosyć spiesznie i grzecznie obsługiwała swych gości, tę tylko jedną miała wadę że nieustannie wzdychała, a oczy dowodziły że płakała po kątach. Przybywający zawsze woła twarze wesole, a lży czułości do reputacyi bilardu wcale nie pomagały, nie jeden zwątpił o dobroci piwa widząc smutne i zamyślonne oblicze pani Szymonowej. Jakoś to się jednak trzymało i wieczorami bywało pełno, ale dużo kredytować musiano, a na takich należnościach więcej się traci, niż odzyskać może.

Jednego dnia majowego 1861 roku, gdy już dobrze zmierzchało, człowiek lat średnich, twarzy bladej, czarnych i namiętych oczów, ręce włożywszy w kieszenie szedł nieprzytomny, osłupiały i zamyślony Bednarską ulicą w górę. Jak gdyby mu sił brakło stawał czasami, ręką ocierał chmurne czoło, szeptał coś sam do siebie, uśmiechał się i powoli włókł się znowu.

Było to uosobione odrętwienie które następuje po rozpaczcy. Cały zdawał się być w sobie i w swój boleści, ale już ani z nią walczył, ani szukał na nią ratunku. Doszedłszy do domu w którym był szynceł pani Szymonowej dostrzegł światła w oknach i zapatrzył się w nie. Okienne nie były jeszcze zamknięte a przez szyby, nie pierwszój czystości, widać było dwóch mężczyzn zajętych szlachetną grą bilardową. Po chwilce namysłu przechodzień machnął ręką i skierował się ku drzwiom. W pierwszój izbie dwóch jakichś panów walczyło o lepsze na zielonem suknie, z zimną krwią wielkich i pewnych siebie artystów. W drugój słycać było brzęk szklanicy bawara i cichą jakąś rozmowę. Na granicy, w progu stała smętna Szymonowa ocierając oczy fartuchem. Bilard był oświecony z góry kienkietem równie starym jak on sam, zakatarzonym i dymiącym; dwa podobne mu, mniejsze spełniały swe posłannictwo kopząc ściany i łzami tłustymi oblewając podłogę po bokach.

W ciemniejszym kątku téj izby, przy małym stoliczku nad arystokratyczną filiżanką kawy do którój musiał dolewać rumu, gdyż flaszka jego obok była pod ręką; siedział jegomość lat dojrzałych w wytartym kapeluszu na głowie, z grubym kijem w rękach. Twarz jego kwitnąca piwonjowemi kolorami świadczyła że spirytusami się nie brzydził, była to zresztą jedną z tych twarzy najpospolitszych które wcale nie zastanawiają: jaki taki nos, pierwsza lepsza gęba, tuzinkowe oczy i całość nieznacząca, nie zwracały nań wejrzenia, można go było minąć niepostrzeżony. –

Półksiężycowe bakenbardy jakie dawniej grenadjerowie nosili, i wąsik wyszwarcowany do góry kazały się domyślać exwojskowego. Miał nawet w dziurce od guzika kawałek jakiejś pstrąg wstążeczki. Poważnie smoktając kawę i popalając z wysileniem cygaro które mu nie ciągnęło chociaż je uparcie do posłuszeństwa chciał zmusić – poglądał tu i owdzie jak gdyby szukając towarzystwa. Nikt się jednak do niego nie zbliżał, a służba bilardowa z niezmiernym służąc mu uszanowaniem, ukosem i z obawą na niego patrzyła. Była to widocznie postać narzucona, obca miejscu i z innych tu powodów niż zwykli goście, przybyła.

Gdy ów człowiek z ulicy wchodził do izby, na pierwsze drzwi skrzyknięcie oczy milczącego jegomości już go od stóp do głów zmierzyły i wybadały. Łatwo w nim zresztą było poznać kogoś co tak cierpiał, że nie wiedział prawie co czynił i co się z nim działo. Ubiór jego wskazywał niegdyś może dostatniego rzemieślnika, ale był zużyty i podarty; szlachetnych rysów twarz powlekała chorobliwa żółtość, włosy były w nieładzie i miejscami płatami posiwiałe. Wszedłszy, nieznajomy nie wiedział co z sobą zrobić, popatrzał, zakręcił się i padł na stołku przy drzwiach. Ledwie usiadł wybiegła zasmolona dziewczyna z drugiej izby i stanęła przed nim, było to nieme zapytanie, którego on z razu nie zrozumiał, a potem zawahawszy się, rzeki ochryplym i słabym głosem:

– Kieliszek wódki!

Gdy mu przyniesiono pochłonął go jednym łykiem, odepchnął tackę z chlebem, rzucił dziesiątkę i głęboko się zamyślił. Od chwili wnijscia oczy exwojskowego nie opuszczały go, śledził jego fizjonomię i ruchy, i żywo zdał się nim zajmować. Bilardowi gracze skończywszy partycję wkrótce wyszli, markier usunął się do drugiej izby, a owi dwaj zostali sam na sam. Naówczas mężczyzna w kapeluszu wstał od kawy, począł się przechadzać, poprawił w zwierciadle bakenbardy, odchrząknął i zbliżywszy się do człowieka przy drzwiach, rzekł z cicha:

– No cóż Panie Macieju, jak widzę zawsze bieda?

Tamten jak przebudzony nagle głowę podniósł, lecz zdawał się nie rozumieć pytania.

– Hm! bieda panie Macieju!

– Co? rzekł niewyraźnie zapytany. —

– Mówię, źle coś na świecie!

– Alboż kiedy było lepiej?

– Ha! ono by to mogło być lepiej, gdyby ludzie rozum mieli.

– Rozum? a na co się on zda kiedy doli niema?

– Przy rozumie i szczęście się znajdzie!

– Djabła tam! —

– A ja wam mówię, dodał kręcąc węża pierwszy, że nigdy rozpaczać nie trzeba, i doświadczonych ludzi słuchać...

– I jam ci to nie chłystek!

– Ale się wam od biedy w głowie pobałamuciło. Wiesz panie Macieju, że kiedy doktor zachoruje gdyby był najlepszy nigdy sam siebie nie leczy, trzeba ludzi słuchać, ja ci to powtarzam jeszcze raz.

– Próbowałem ci ja tych ludzi, ale mi żaden nie poradził. Słowo nie kosztuje, słów ci każdy nasypie, a co potem? językiem miele, ręką nie ruszy —!

Exwojskowy obejrzał się bacznie po izbie, wziął Macieja pod rękę, zaprowadził go do swego stoliczka, nalał mu kieliszek rumu i zmusiwszy do wypicia posadził go przy sobie.

– Słuchaj no, rzekł, rzemiosło nie idzie, prawda? Albo to nie ma innego kawałka chleba? Ja bym ci gotów i naraić; ale to delikatna materja...

Maciej spojrzął z ukosa ale zamilczał.

– Pierwsza rzecz, szepnął bardzo ostrożnie jegomość z wąsami, potrzeba mi dać słowo że co między nami się powie zostanie jak na spowiedzi.

– Już to mój panie poruczniku, rzekł Maciej, kiedy rzecz jaka musi być tajna to i licha warta. Jam przywykł szeroką chodzić drogą i o białym dniu, a manowcami i po nocy nie umiem.

– No, to sobie z głodu umieraj, kiedyś taki pyszny pan. Przecież miarkować możesz że ja cię do kradzieży ani do rozboju, ani do przemycania namawiać nie myślę...

– Więc czegoż takie tajemnice?

– Mój kochany, tobie to trudno zrozumieć, ale do ważnych, bardzo ważnych spraw czasem małe rzeczy są potrzebne i mała usługa a dobrze się płaci...

– Eh! słuchaj poruczniku! co tam bałamucisz, mów bo mi otwarcie, jak masz mi dać dobrą radę, to nie dróżże się z nią.

Porucznik zdawał się jeszcze namyślać potem zaczął mu szeptać do ucha:

– Możesz mieć i protekcją i pieniądze i co zechcesz: Rząd potrzebuje wiedzieć co tu za konszachty ludzie między czeladzią i robotnikami czynią względem tam jakiejś głupiej rewolucyj. Ja mam dobre zachowanie z Pauluccim i innymi, zarekomendowałbym cię. Pięć złotych na dzień jak znalazł, gratyfikacje jak się coś przyniesie, i na przyszłość może być jeszcze jaka promocja.

Maciej zbłądł i zadrzał, zimny pot wystąpił mu na skronie.

– Bądź pan pewnym, rzekł głosem przerywanym, że co między nami się powie, świat o tém wiedzieć nie będzie. Zawsze to może uczynił z dobrego serca, ale mój panie poruczniku choć zniosłem dużo, choć się łamię pod ciężarem, jeszcze mi Bogu dzięki na myśl nie przyszło żyć cudzą krwią i nieszczęściem.

Uchwycił się oburącz za głowę i dodał z oburzeniem:

– Toć lepiej na pragski most i buchnąć do Wisły. Wszystko się skończy; ale człek z czystym sumieniem pójdzie na sąd Boży.

Porucznik niezmięszany wcale, zaczął się śmiać.

– Jakie z ciebie dziecko! rzekł, widziałeś ty kiedy, żeby człowiek bez cudzej krzywdy miał kawałek chleba? Myślisz że na tych karetach co to się w ulicy świecą nie ma i krwi i potu cudzego? Trawa je ziemię, wół je trawę, człowiek je wołu, taki to już porządek; zresztą niech sobie rząd bierze na swoje sumienie co tam chce, ja donoszę co widzę i co mi tam do tego! Ten winien kto na złe użyje, a nie ja! —

– Dajcie pokój poruczniku! na ten chleb ja nie pójdę, ani bym go jadł, ani bym strawił, bo by mnie jęki nieszczęśliwych zadławiły.

– Czekajcie no jeszcze Panie Macieju, odparł porucznik, Wać Pan jesteś uczciwy człowiek, jemu to mogę szczerze powiedzieć, nie od dziś to moje rzemiosło, namawiałem ja sobie dużo towarzyszy ale zawsze z początku tak bywało jak z waćpanem, dopiero jak głód dokuczy, rozum przychodzi. Wzdraga się człek, wzdraga, potem rozmyśli i przyjmuje. Mnie waćpana żal, daję ci tydzień do namysłu... a potem, zobaczemy. —

Popił trochę kawy, popalił cygaro i dodał:

– Nie potrzebuję przestrzegać, że jakbyście się wygadali, to w więzieniu zgnijecie. To już nie moja rzecz, ale sprawa rządowa.

Maciej westchnął głęboko i lży mu się z oczów potoczyły.

– Miły Boże! zawołał po cichu, na co człek szedł! i Bóg widzi nie własną winą! Ale nie, nie, do tego nigdy nie dojdę! raz się umiera!

– Mówię ci nie zarzekajcie się, z uśmiechem szepnął porucznik, nie trzeba pluć na wodę... żeby się jęć potem nie przyszło napić. —

Chciał jeszcze nalać kieliszek rumu Maciejowi, ale ten podziękował, i wstał, kroplisty pot ocierając z czoła.

– Jak się namyślicie, to mnie tu prawie każdego wieczora znaleźć możecie, rzekł wąsaty. —

Na tém skończyła się rozmowa. Maciej wysunął się z izby i powlokł ulicą.

Zaledwie uszedł kilka kroków, gdy go ktoś trącił w ramię i rzeki z cicha, nieznanym mu głosem.

—
– Chodźcie za mną!

– Dokąd? po co?

– A no! to się zaraz dowiecie, ale chodźcie bo sprawa ważna i o waszą skórę idzie. —

– Dalibyście mi pokój, ja was nie znam.

– Ale ja znam ciebie, rzekł nieznajomy, chwytając go za rękę. – Jesteś Maciej Kuźma, majster stolarski, niedawno się wyzwolił, ręką ci nie idzie. Masz żonę chorą, troje małych dzieci, kilka set złotych długu, na drzewo ani grosza, ani czeladzi czém opłacić; chodzisz jak struty, złe ci myśli po głowie wędrują, a źli ludzie kusiecie gotowi z tego korzystać.

Maciej słysząc to wszystko, prawie osłupiał ale mu na myśl przyszło, że to może dalszy ciąg rozmowy z porucznikiem, że to próba tylko. Już mu też sama ta myśl szpiegostwa piersi paliła.

– Słuchaj, rzekł popychając zatrzymującego człowieka: idź ty odemnie precz szatanie jakiś, a nie, to ci głowę rozwalę.

Nieznajomy zaczął się śmiać. —

– Cóż to, ty mnie bierzesz za jakiego towarzysza porucznika? czy co? Domyślam się co on tobie raił, ale ci przysięgam na ten potrzaskany krzyż, co go Moskale znieważyli, że to całkiem inna sprawa! Możesz ze mną iść bezpiecznie, sumienia ci nie zamącam. Właśnie żem widział i domyślam się że odpowiedziałeś porucznikowi, dla tego cię z sobą chcę prowadzić.

– Przysięgnij jeszcze raz!

– Na co chcesz?

– Przysięgnij na zbawienie, że mnie nie zwodzisz!

Nieznajomy, słuszny mężczyzna w bardzo porządnym ubraniu, którego twarzy ciemność dostrzedz niedozwalała, rozpiął się, dobył medalik zawieszony na szyi i powtórzył uroczyście przysięgę. —

– No, to chodźmy rzekł Maciej. —

W milczeniu przeszli kawałek Krakowskiego Przedmieścia, a nieznajomy wiodąc przodem wszedł do jednej z kamienic naprzeciw Dobroczyńności... Po ciemnych wschodkach dostali się na trzecie piętro. Tu przewodnik trzy razy po trzy zapukał do maleńkich drzwiczek, które się nierychło otwały. Przedpokój był zupełnie ciemny, przybyły poszeptał coś z otwierającym, stali chwilę w mroku a nareszcie weszli z Maciejem do oświetlonego pokoju. —

Była to izdebka mała o jednym oknie i dość pusta. W środku prosty stolik, kilka wyplatanych krzeseł, w kacie łóżko z materacem ale bez pościeli: Jedna świeca nie bardzo rozjaśniała ciemne to i smutne schronienie. Teraz dopiero Maciej się mógł przypatrzeć i temu co go tu przyprowadził i drugiemu którego w mieszkaniu zastali. Obaj byli ludzie młodzi, przewodnik słuszny barczysty, szlachetnych rysów mężczyzna, drugi blondyn, delikatny, wąty, blady, ale rysów pełnych energii. – Duszy jego zdawało się być ciasno w tej powłoce, tryskała oczyma, wrywała się ustami, świeciła aureolą na czole.

– Panie Macieju, rzekł pierwszy, jesteś między uczciwymi ludźmi, między swoimi, mów co ci tamten szatan kładł w ucho kusząc cię?

Maciej zatrzymał się chwilę, pomyślał. —

– Czy Panu Bogu czy djabłu, rzekł, jak się da słowo że się będzie milczało trzeba dotrzymać? nieprawdaż?

– Nie ma co mówić, rzekł blondyn, macie słusność; ale kiedy tak, to my wam powiemy o co tam chodziło. – Gotów jestem odgadnąć nietylko co się mówiło, ale jak się tam gadało.

Maciej osłupiał.

– Jeżeli panowie tak rozumni jesteście odparł kwaśno, to należycie pewnie do jednego bractwa z porucznikiem. Otoż wam powiem jak jemu, że ze mną nic nie wskóracie. To darmo, jestem biedny człowiek i biedniejszy może od wielu, ale cudzemi łzami i krwią żyć nie chcę! Bywajcie acaństwo zdrowi. Obrócił się ku drzwiom gdy uczył że ów blondyn pochwycił go w ramiona, ścisnąć począł i całować.

– Siadaj panie Macieju, rzekł, tamto jest szelma szpieg, którego prędzej później stryczek nie minie, a myśmy dobrzy Polacy i pracujemy nie dla rządu moskiewskiego, ale dla naszój

kochanej ojczyzny. Nie będziemy ci kłamali ani to ani owo, znamy cię przez twoją czeladź i innych towarzyszków, bo i my mamy swoją policją, musimy się pilnować, widziano że cię kilka razy ów porucznik zaczepiał, łatwo się było domyślić czego chciał. – Otóż kraj od ciebie wielkiej usługi wymaga.

– Jesteście katolicy? spytał Maciej, możecie mi się jeszcze raz przysiąc że to czego odemnie chcecie dla naszej miłej ojczyzny jest potrzebnym?

– Możemy i przysięgam, rzekł blondyn, spojrzysz na nas czy my wyglądamy na szpiegów i zdrajców?

– O noc to nie, rzekł Maciej, ale ta Moskiewszczyzna to się ona przybiera na różne figle, a szpiegi tak udają dobrych Polaków, że lichy ich tam pozna!

Blondyn miał łzy w oczach, dobył krzyża schowanego w szufladzie i ukazał go Maciejowi.

– Patrz! zawołał, ten krzyż obwiedziony cierniem, zrobiony był z chleba więziennego, polany łzami męczennika, wyszedł on z cytadeli, święty jest sobą i uświęcony boleścią; na ten ci krzyż przysięgamy, że nie ma w nas fałszu...

Maciej już się prawie zawstydział swego niedowiarstwa.

– Mówcie, każcie, a co człek podoła to się zrobi, ale Bóg widzi, jeżeli możecie to mnie przez dobrych ludzi poratujcie, żebym naprzód głowę odzyskał, bo mnie bieda oszołomiła że sam z sobą rady dać nie umiem i na nic się wam nie przydam, póki mnie to moje nieszczęście jeść będzie, głupim od bólu.

– Na wszystko się poradzi panie Macieju, ale trzeba i z tym ostrożnie, bo jak cię szpiegi w lepszej skórce zobaczą, wszystko przepadnie. A my od ciebie także trudnych rzeczy wymagać będziemy.

– Bądź spokojny, dodał drugi, jutro pójdziesz do Dobroczynności po pożyczkę.

– Chodziłem na próżno kilka razy, któż za mnie zechce zaręczyć?

– Znajdzie się tam dwóch obywateli jutro co porękę za ciebie złożą, ale choć ci lżej będzie, stękać tak i zawsze, bo nam tak potrzeba.

– Za trzy dni, dodał blondyn, pójdziesz na Bednarską ulicę, znajdziesz tam porucznika, trzeba się jeszcze nawzdragać, ale w końcu musisz przyjąć co on ci ofiaruje...

Maciej rzucił się z krzesła.

– To nie może być!

– Przecież im nic nie będziesz donosił, ale nam przez ciebie potrzeba wiedzieć co się u nich dzieje!

– A! moi panowie drodzy za skarby świata, odparł Maciej składając ręce, ja się tego nie podejmuję, ja tego nie potrafię...

– Jak to, dla tej miłej ojczyzny! dla naszej świętej wiary!!

– Moi panowie, odparł rzemieślnik, jestem stolarz, gdybyście mi kazali buty robić to nie moja rzecz; tak i to, jestem prosty człowiek a to bardzo kręta sprawa, nie moją to głową podołać. —

Mimo że, jak się bardzo słusznie wyrażał pan Maciej, była to kręta sprawa, młodzi ludzie zapewnili go, że za ich radą i skazówką uczciwie jej podoła, choć z wielkim więc wahaniem, podjął się Kuźma przykrego dlań obowiązku. —

Dobłą godzinę spędzili na tych układach.

– Już to wy tam lepiej wiecie i na co to potrzebne i jak ma być, rzekł w końcu Maciej, ale mnie się ono zda, że takiemu wydzę jak porucznik, ja chyba rady nie dam... to darmo.

– My wam pomożemy! rzekł blondyn.

– A gdzież ja was będę szukał?

– Około szóstej wieczorem gdybyście chcieli zająć się pomodlić u figury Matki Boskiej, naprzeciw Dobroczynności, zawsze tam ktoś z nas być może.

Na tym skończyła się rozmowa i pan Maciej ze swobodniejszą nieco myślą powlókł się do domu, ale na sercu było mu jeszcze ciężko. —

Dobrze w noc, gdy już u pani Szymonowej nikogo na bilardzie nie było, porucznik, który przez ostatnią godzinę pobytu swego w tém miejscu spał, czy też udawał śpiącego, przeciągnawszy się i zapomniawszy zapłacić gospodyni (co było jego zwyczajem) wyszedł ostatni z bawaryi. Nie daleko mu było do domu, mieszkał bowiem na Dziekance w tylnej części obszernego domostwa zajętego w większej części przez bardzo ubogie rodziny. – Dostukawszy się do bramy, przewlókłszy przez dziedziniec miał jeszcze dwa piętra wschodów do przejścia omackiem. We drzwiach, w które uderzył gwałtownie, było u góry małe okienko nieprzezroczyste, przez które słabe dobywało się światło. Otworzono mu wkrótce, a porucznik poświstując jakby dla dodania sobie odwagi, w kapeluszu na bakier, z cygarem w ustach wszedł do środka. – Drzwi mu otwierała brudna zaspana służąca; w mieszkaniu było głucho, po środku wielkiej izby paliła się tylko świeca łojowa od dawna nie objaśniana. – Przy jój mdłym blasku widać było to nędzne mieszkanie, które zarazem mieściło w sobie i całe gospodarstwo rodziny. Ode drzwi były naczynia kuchenne, piec w którym gotowano, nawet potrosze spiżarnianych zapasów w dosyć wielkim nieładzie i opuszczeniu. Dalej w różnych kierunkach, kilka stołów, zarzuconych bielizną i odzieżą. Ku oknu stało parę łóżek niedobrze zasłoniętych parawanami papierowymi dosyć obszarpanymi. Jakaś przykra woń ubóstwa i bezrzędu wiała od tego schronienia. Nic dla oka i ozdoby, nic dla uczucia i serca, ubóstwo dotkliwe które o niczem nie myśli nad dzień powszedni, rozpoczęte pranie, porozwieszane łachmany, resztki nędznego jadła, nic więcej widać nie było. Nad wielkim stołem, na którym paliła się świeca, drzemała oparta na rękach kobieta średnich lat, wychudła, w ubraniu zaniedbanem, z roztarganymi siwiejącymi włosami. Rysy jój twarzy dowodziły że niegdyś była bardzo piękną, nędza nawet, wiek i zaniedbanie nie potrafiły zatrzeć śladów tego daru Bożego, ale czarne przesłiczone niegdyś oczy, wpadły głęboko i od łez zagasły, usta kryły się w fałdach, które wyźłobiła boleść, a nawyknięcie do ciągłej walki i pasowania się z nieszczęściem napiętnowały to oblicze dzikim wyrazem jakby stężałego gniewu. Była zaprawdę straszną jak ręką wielkiego artysty wyrzeźbiona głowa Meduzy. Spojrzawszy na nią, można się już było domyślić, dla czego porucznik wchodząc nadał sobie minę odważną. Wszystko tu znamienowało tę wojnę domową, której ślady znać było w nieładzie całego mieszkania.

Usłyszawszy chód kobieta przebudziła się i zerwała, spojrzała na stary zegar wiszący u ściany i ręką wskazała go mężowi. Było w pół do dwunastój.

– Tośmi się dziś poprawił, rzekła, taka to prawda że wcześniej miałeś wrócić?

Porucznik naczczo był łagodny ale napiwszy się rumu nader walecznym się stawał, odparł grubijańsko:

– Milcz! stara sekutnico, robię co mi się podoba, a tobie w to nosa nie wścibiać!

Kobieta kiwnęła głową wcale się nie uląkłszy groźnej postawy.

– Już się to bydlę spiło, rzekła, i huczy, i będzie mi tu przyszedłszy hałas jeszcze wyrabiać!

Milczcie mi zaraz i idź spać pijaku, a nie to cię tu nauczę!

Porucznik świstał ale coraz ciszej; zdjął kapelusz i postawił na stole, cygaro zgasłe próbował zapalić u świecy, ale jakoś na płomień nie mógł trafić, co jeszcze mocniej dowiodło że jójmość w swych przypuszczeniach się nie myliła. W istocie był tego pijany, pomimo to chciał rozmowę z drażliwej materyi sprowadzić i zapytał ochryplym głosem:

– Julek jest?

– Co tobie do Julka? trutniu ty jakiś, odpowiedziała żona. Jakie ty masz prawo pytać o dziecko o które nie dbasz?

– Eh! babo ze mną jak sobie chcesz ale od Julka mi wara, jestem ojcem i powinienem go pilnować – krzyknął groźno przybyły.

– I dobrze go pilnujesz! odpowiedziała kobieta – myślisz chyba że gdzie w szynku siedzi, że szukając go cały dzień bawarye wycierasz?

Porucznik zmilczał chwilę i powtórzył pytanie:

– Jest Julek?

Żona zamiast mu odpowiedzieć plunęła i poczęła długie niegdyś swe włosy związywać jakby się do snu przybierała.

– Kachno, odezwała się po chwili, poświęć jegomości do jego stancy!

Porucznik trzeci raz zapytał:

– Jest Julek?

Nagle kobieta która zdawała się być obojętną, zwróciła się ku niemu z rozognioną twarzą.

– Nie ma go, zawołała, dałeś mu dobry przykład włóczenia się po nocach, próżniactwa i rozpusty, będziesz go miał, takim może jak ty opojem i wisielcem! Patrząc na ojca pójdzie pewnie w jego ślady. Nie dość ci było zgubić siebie, mnie, trzeba ci było zmarnować i to dziecko! Na sumieniu twojem ciężko, oj ciężko będzie w dniu sądu! poniesiesz na dno piekieł i swoją duszę i naszą! To mówiąc ryknęła płaczem. A porucznik popatrzawszy na nią jakby wytrzeźwiał, spokorniał, i zamilkł.

– Cicho! cicho! rzekł, co ja tam temu winien, a bo to ja mu codziennie nauk nie daję?

– Oj twoje nauki! Lepiejby stokroć było dziecku ich nie słyszeć i ciebie do trumny położyć? Co znaczą twoje słowa przy twoich uczynkach? Dostyć by ci spojrzeć na twarz to z niej życie wyczyta! A potem chcesz mieć pociechę z niego! Łaska Boża jeszcze nad nami że choćbyś innego już zepsuł, jego może nie potrafisz.

Porucznik głęboko się zadumał, westchnął jakoś dziwnie, stuknął pięścią o stół i krzyknął ochryplym głosem podnosząc kija:

– Milczeć babo, a nie, to ci łeb rozplątam!

– Nie będę milczeć, odparła tupiąc nogą kobieta, rozbij mi głowę, ja śmierci dawno u Pana Boga się dopraszam; skończysz przynajmniej jakieś wart, na szubienicy!

Porucznikowi twarz cała krwią nabiegła, oczy się rozplomieniły i byłaby może scena ta krwawo się skończyła, gdyby nie zastukano do drzwi.

Oboje rodzice po nieśmiałym stuknięciu domyślili się powracającego dziecka. I w tej chwili stał się cud jakiegoby nikt przewidywać nie mógł. Dwie te groźne twarze jakby czarodziejskiej laski dotknięciem zmieniły się w łagodne oblicza, znikł z nich gniew, a siła miłości rodzicielskiej przeistoczyła je zupełnie. Nie chcieli przed ukochanym stanąć w całej ohydzie tej szkaradnej walki. Twarz kobiety stała się spokojną, smutną ale dziwnym wyrazem miłości uśmiechniętą; nie można się było nawet domyślić że przed chwilą pałała oburzeniem i gniewem. Ojciec przybrał postawę poważną i prawie stał się podobny do porządnego człowieka, resztką jakiegoś wstydu mglisto osłaniała mu oczy. Dali sobie wzajemnie znak porozumienia i gdy Julek wszedł po cichu, śladu już kłótni nie zastał. Oczy obojga rodziców tęsknie zwrócone były ku niemu, ojciec drżał na samą myśl że w nim swojego nalogu pierwsze zarody spostrzedz może.

Przybyły był chłopakiem lat około dwudziestu i żywym młodości swęj matki wizerunkiem, były to zupełnie te same rysy, szlachetne, delikatne ale jeszcze niestartym puszką wiosenną pokryte. Wśród tego flamandzkiego obrazu, brudnego ubóstwa, Julek odbijał jakby do niego nie należał, jakby z niego nie wyrósł; ubranie młodego chłopaka było skromne ale czyste i porządne; na twarzyczce igrał wesoły uśmiech młodzieńczy którym zdawał się chcieć przebłagać rodziców, pewien że się za jego spóźnienie gniewać będą.

– Cóż ty tak późno powracasz? rzekła matka łagodnie. Patrz, wszak to już wkrótce dwunasta.

– Powtarzaliśmy lekcje z kolegami rzekł trochę zmieszany Julek – i tak się jakoś spóźniło.

Ojciec nic nie rzekł, ale wejrzenie jego tak badało syna jakby się do wnętrza jego duszy chciało dostać.

– Ale to teraz taki czas, rzekł po chwili, że się długo zasiadywać za domem nie trzeba, a przytem i zważać z kim się wdać, bo jeszcze gdzie za cudze grzechy biedy napytasz...

Julek chwilę zmilczał i dodał z wyrazem szczerości:

– Proszę ojca, jaki jest czas to jest, a uczyć się potrzeba; nasza nauka i mozolna i wielka, przedmiotów mnóstwo, wiele rzeczy na pamięć się uczyć musimy...

Matka położyła mu rękę na ramieniu i spytała:

– Toś ty pewnie nic nie jadł?

– Eh! kochana matuniu jużem się tego z medycyny nauczył, że człowiekowi do życia wiele pokarmu nie trzeba, aby kromka chleba i trochę wody, nie jestem głodny.

– Ja ci tam kazałam schować kawałek mięsa i trochę kartofli – toby ci przygrzeli.

Na wzmiankę o jadle porucznik który dużo pił ale nie miał sposobności zjeść, znaczącą zrobił minę, lecz spotkawszy groźny wzrok żony językiem tylko powiódł po ustach i zmilczał; nie śmiał się upomnieć.

Przytomność Julka jakby zesańca pokoju uciszyła burzę i dała wieczór zakończyć cicho. Porucznik bardzo nawet grzecznie oddał dobranoc żonie która go pożegnała równie łagodnie. Z nim razem odszedł i Julek do dwóch izdebek wyżej jeszcze na strychu położonych. Gdy za nimi Kachna drzwi zamknęła, kobieta pobiegła szybko ku łóżku, odsłoniła parawan i pochyliła się nad pościelą na której widać było uspioną twarzączkę piętnastoletniego dziewczęcia. Uspokoila się przekonawszy że dziecię spało mimo hałasu i chodzenia. W istocie córka którą nie chciała mieć świadkiem przykrego zajścia z mężem, odpoczywała tym głębokim snem młodości którego czasem i wystrzały działowe nie przerywają.

Piękna główka złotowłosa leżała na rozwitych puklach, zarumieniona snem, z pół otwartymi ustami i przymkniętymi oczyma uśmiechając się jakimś marzeniem.

Matka cichutko pocałowała ją w czoło, odeszła do stolika, siadła i z oczów jej strumieniem puściły się łzy. Milcząca płakała tak długo, długo, aż gdy się świeca dopalać zaczęła sługa schwyciła ją za rękę prosząc aby szła spać.

Nie zrzucając sukni porucznikowa padła ze łzami swemi na łożo.

—

Trzeba oddać tę sprawiedliwość rządowi moskiewskiemu że przy najgorliwszych chęciach szpiegowania, nigdzie ta gałąź administracji gorzej jak w Rosyi i Polsce urządzoną nie była. Rząd zmuszony posługiwać się wyrzutkami społeczeństwa, których ani wybrać ani zorganizować nie umiał, dowiadywał się zawsze ostatni o tem co już wszystkim ulicznikom wiadomem było. Policja jego bywała dokuczliwą ale najnieskuteczniejszą w świecie; donosiła o rzeczach błahych, nigdy inaczej jak przypadkiem ważniejszych dojść nie mogąc.

Tam gdzie agent policyjny jak w Anglii czuje się kółkiem uczciwie pracującym w machinie społecznej, gdzie się swojego rzemiosła wstydzic nie potrzebuje, czując że i na nim polega bezpieczeństwo publiczne, tam znajdują się ludzie uczciwi i zdadni do nadzoru nad mętami i szumowinami społecznymi. W Rosyi, gdzie policja jest najpodlejszym narzędziem ucisku, żaden człowiek co ma najmniejsze poczucie swojej godności należeć do niej nie może. Wymiała się więc z rynsztoków śmiecie i niemi posługiwać musi. Policja głównie jest skierowaną przeciw politycznym przestępcom, nie mogąc ich dosledzić tworzy winowajców, a w ogóle niedołączność jej równa się ślepotcie. Nie ma też bardziej upadającego nazwiska, któreby tak nieodwołalnie niosło z sobą potępienie jak miano szpiega. Ani złodziej, ani fałszerz, ani rozbójnik nie jest tak jak on wzgardzonym. Dla szpiegów nie ma litości i przebaczenia. Kosztując bardzo wiele, sekretna policja moskiewska dała tysiączne dowody jak jest bezużyteczną. Napróżno chcąc mieć lepszą w Warszawie Wielopolscy przez przyjaciela swego sekretarza konsulatu angielskiego pana W... sprowadzali agentów z Anglii chcąc tamtejszą organizacją naśladować. Na nic się nie zdały wzory, bo narzędzi do niej u nas znaleźć nie mogli. Rząd wzgardzony na wagę złota nie potrafi dostać ludzi którzyby mu do bezprawioń posiłkowali. Policjant angielski wie że śledząc zbrodniarza lub niespokojnego chartistę, prowadzi go przed sąd, który winę jego oceni, wyważy i karę oznaczy do

niej stósowną. Szpieg moskiewski prowadzi ofiarę pod nóż, oddaje człowieka w ręce oprawcy, jest sam nie posługaczem sądu ale pacholkiem kata. Można więc miarkować z tego jacy ludzie wchodzi do składu policyi. Najmniejsza denuncyacja, nie oparta na niczem, często będąca skutkiem złości lub zemsty, wystarcza na potępienie człowieka. Nie jedna kłótnia z tajnym agentem kosztowała niewinnemu życie, nie jeden kaprys pijanego odebrał rodzinie ojca. Tam gdzie nie ma jawności sądu, ani statecznej formy prawa, gdzie w rękach najniebezpieczniejszych ludzi są losy wszystkich, łatwo pojąć jakie być musi bezpieczeństwo osób i własności. W ostatnich czasach wielkie postępy które uczynił charakter narodowy w ogóle odbiły się i w tej nawet klasie.

Szpiegostwo które za Wgo. Księcia Konstantego (pierwszego) liczyło w swem gronie i dosyć pokaźnych agentów, zeszło było na ostateczną szuję. Starano się, gdy wypadki uczyniły je konieczną potrzebą, wzmocnić nowymi żywiołami; ale gdy przyszło ich szukać okazał się brak zupełny.

Gdy we trzy dni po wzmiankowanym wieczorze przyszedł Maciej do bawaryi na Bednarskiej ulicy chociaż już był o swój los spokojniejszym, tak wyglądał ze strachu, wrażenia i przymusu do kłamstwa, iż porucznik wziąć go mógł za zrozwyczajonego człowieka. Nogi się pod nim trząsły, a głosu mu w ustach brakło. Gdy spostrzegł exwojskowego musiał usiąść przy drzwiach bo kroku dalej zrobić nie mógł. Tego dnia dosyć ludzi było w bawaryi; porucznik po chwili zbliżył się do Kuźmy i rzekł po cichu:

– A co? idzie? rozmówimy się z sobą?

– Cóż począć, już muszę!

Na tém się zrazu skończyło. Porucznik dopił kawę i mrugnawszy na Macieja wyszedł z bawaryi.

– A widzisz, rzekł w ulicy, mówiłem ci, nie pluj na wodę żebyś się jój nie napił.

– Dajcie już pokój i nie urągajcie się, odparł Kuźma wzdychając. Mówcie co chcecie odemnie?

– Co ja ci mam gadać? szepnął porucznik, chodź za mną to się dowiesz.

W milczeniu poczęli iść, porucznik przodem Kuźma za nim z Krakowskiego przez Miodową na Długą i tu niedochodząc Bielańskiej weszli do bramy jednego domu, przed którym przechadzał się jakiś niepozorny jegomość.

Porucznik przemówił do niego słów parę i wszedł ze swym towarzyszem w bramę, w dziedziniec, potem na wschody ciemne, na ostatek do jakiegoś mieszkania od tyłu. W zadusznym i smrodliwym przedpokoju na ławkach i po kątach kryło się kilka osób jakby wstydząc własnych twarzy. Każdy tu wchodził zakrywając się o ile możności i usiłując pozostać w cieniu. Towarzystwo było jak najdziwniej dobrane: jakaś kobieta wystrojona w atlasowej salopie, której z za zasłony tylko bardzo wyróżzoną twarz widać było, jakiś mężczyzna w wytartym fraku chudy i skureczony, jakiś wielki drab odarty ale z twarzą zuchwałą i czołem bezwstydnym; jakiś staruszek kaszlący ale uśmiechnięty i słodziuchny, наконец elegancik fałszowany, którego lakierki nie broniły się domyślać że mu może pończoch brakło.

Kuźnia wchodząc za porucznikiem poczuł dreszcze po skórze i zamieniłby był chwilowe położenie swoje na największą nędzę. Otarcie się o tych ludzi nabawiło go obrzydzeniem. Jakiś sługa wchodził i wychodził z salonu do przedpokoju, z przedpokoju do salonu. Spozierał on z góry na oczekujących i po jednym wpychał ich w paszczę potworu. Odbywało się to dosyć prędko i kolój na porucznika przyszła niebawnie. Kuźma pozostał jeszcze póki go nie zawołano. Naostatek otwarły się drzwi i porucznik na niego kiwnął; potknął się nieborak w progu a gdy oblaną wstydem twarz podniósł, ujrzał przed sobą wcale ładny pokój niezgorzej umeblowany z sofami i krzesłami do koła, z kilka zwierciadłami na ścianach. Na stole między oknami wśród książek i papierów stała lampa i dwie świece, na małej kanapie siedział mężczyzna lat czterdziestu kilku, pięknie łysy, nader przyjemnej i łagodnej twarzy.

Wyglądał raczej na smakosza i dobrego koleżkę niż na jakiegoś tam naczelnika tajnej policyj. Niebieskie jego oczy miały wyraz łagodny, usta rumiane i duże, uśmiechały się dobrodusznie i serdecznie, mimo pozorniej szczeroty rozlanej w całej fizjonomij, Lawater byłby w niej odkrył

dobrze zamaskowaną chytrą bizancką, w rodzaju tej jaką się odznaczała twarz Alexandra I., owego moskiewskiego anioła... z pazurkami pochowanymi w glansowane rękawiczki.

Z pierwszego wejrzenia wziąłbyś go za niewinnego epikurejczyka, w rozmowie dopiero gdy się te rysy nerwową grą ożywiły, wybitnie tryskała z nich przebiegłość a niekiedy zimne okrucieństwo. W ruchach tej postaci było coś kociego. Kuźma prosty człek, który się spodziewał ujrzeć potworę, zdziwił się mocno zobaczywszy tak uśmiechniętą i miłą istotę.

Gdy siedzący na kanapie mężczyzna mierzył przybyłego dość ciekawymi oczyma, porucznik tymczasem mu go przedstawiał. —

– Oto, proszę pana Naczelnika, majster Maciej Kuźma, bardzo porządny i uczciwy człowiek, o którym panu Radcy miałem honor wspominać...

Porucznik dawał mu na przemiany ten tytuł Naczelnika i Radcy, którym ozdobiano zwykle wszystkich wyższych urzędników w Warszawie.

Przyjemny naczelnik nie odpowiedział tak rychło, zajęty był bowiem wydobywaniem resztek obiadu z dosyć jeszcze białych ząbków.

– A wieszże mój kochany o swoich obowiązkach? zapytał w końcu po chwili milczenia. —

– Nie, proszę pana, ja nic jeszcze nie wiem prócz tego, że mam być **szpiegiem!**

Naczelnik aż się rzucił z kanapki.

– Moja duszo, moje serce, kochany człowiecze głupi jesteś jak but. Co to jest szpieg? to jest wyraz przez nieprzyjaciół porządku wymyślony na pogardę! I Wać Pan, i ja, i wszyscy uczciwi ludzie jesteśmy obowiązani służyć naszemu Królowi i krajowi, strzedz i pilnować, aby w nim był porządek i bezpieczeństwo; ludzie źli podbechtani przez zagranicznych burzycieli, chcieliby zamącić spokój, aby w mętnej wodzie ryby łowić. Cóż to jest złego, pytam się, stać na straży i dawać znać o pożarze? he?

Porucznik, który czuł się obowiązany coś dodać od siebie, rzekł poważnie:

– A widzisz asan, co ja mówiłem.

Naczelnik udobruchał się po chwili:

– Instrukcją szczegółową, moja duszeczko, będzie ci dawał ten oto porucznik. Wypadnie ci mieć oko szczególnie na czeladź rzemieślniczą i dobrze ją poznać. Szkoda że asan, mój drogi panie Macieju, nie masz tam stosunków z rzeźnikami na Pradze, bo na nich najwięcej bacność zwracać potrzeba, to hałastrą niebezpieczną i zuchwałą. Nie potrzebuję cię przestrzegać, moja duszo, że chcąc coś wiedzieć, musisz naturalnie często sam coś gorętszego przebaknąć, bez tego nic. Różne są okoliczności, ludzie źli czasem udają spokojnych aby rząd oszukać; może się trafić że trzeba będzie zrobić jaką awanturę ażeby lepiej ich poznać. Jeżeliby tam w zamieszaniu i ciebie mój kochany przychwycili, potrzebujesz mieć jakieś świadectwo coby cię obroniło. – Da ci się tu z kancelaryi kartkę z pieczętką którą w potrzebie pokazać możesz policyantom. To już tam porucznik o tych rzeczach będzie pamiętać, a gdy znajdziesz co donieść, on poinformuje gdzie i jakim porządkiem. —

Rzecz zdawała się skończona, porucznik wskazał Maciejowi drugie drzwi idące do kancelaryj, popchnął go tam, a sam został z naczelnikiem.

Chwilę milczeli oba, aż Radca się odezwał:

– Coś mu nie bystro z oczów patrzy, podobno nie wiele z niego będzie korzyści!

– Przepraszani pana Radcę, ale to w każdym stanie, rzekł porucznik, rozmaici ludzie są potrzebni, tylko wiedzieć jak ich użyć. To człek stateczny, biedą zmuszony i dla tego dobry że go się nikt obawiać nie będzie, a już ja nim tak pokieruję że z niego zrobimy ajenta co się zowie.

– A no zobaczymy, da się to widzieć, rzekł naczelnik. —

Porucznik mimo skończonej na pozór rozmowy stał ciągle, a Radca milczeniem swem dawał mu do zrozumienia że mógłby sobie pójść precz.

Tamten jakoś tego nie rozumiał, nakoniec porucznik odważył się przebaknąć:

– Proszę, pana naczelnika, co się tycze gratyfikacyj?

– Co się tycze gratyfikacyj – odparł powoli naczelnik, daje się to tam różnie wedle tego jaką rybę ułowicie, a któż to wie jeszcze czy szczupak czy płotka?

– Już proszę pana naczelnika spuścić się na mnie że człowiek będzie przydatny.

– No, no, wypłacą ci tam dwieście złotych (tu zniżył głos naczelnik) tak jak zwyczajnie, wytrąciwszy na koszt kancelaryj...

Porucznik spuścił głowę smutnie i spytał cicho:

– Jakże proszę pana naczelnika?

– Waćpan tam już wiesz.

– Ale jeżeli wolno zanieść pokorną prośbę słowo honoru, panie Radco, że kawałka chleba w domu nie mam...

Na słowo honoru uśmiechnął się naczelnik szydersko i odpowiedział:

– Sameś sobie winien, nie statkujesz... ale dość, waćpan wiesz że nie może być inaczej. Sto złotych weźmiesz do rąk a pokwitujesz z dwóchset, i sza! To mówiąc zadzwonił, wszedł żywo kulawy mężczyzna z piórem za uchem w wice mundurku. Naczelnik mu coś poszeptał, i z nim razem odprawił porucznika żegnając go:

– Idź, idź, moja duszeczko, a statkuj i bądź uczciwy...

Po upływie krótkiego czasu porucznik i Maciej Kuźma wyszli oba z domu przy Długiej ulicy, a stolarz przybity i upokorzony nie mogąc zaraz pójść wypowiadać się pod figurę Matki Boskiej polecał do domu czując jakby go kto gonił, myśląc że cały świat wie o jego sromocie.

Porucznik trzymał w ręku owych trzydzieści srebrników za które sprzedał duszę ludzką a w sumieniu jego stwardniałem nie odezwała się nawet na chwilę zgryzota, kłął po cichu tego pana naczelnika który go tak grzecznie i słodko na sto złotych okradł, kłął kancelistę który z pozostałych stu, jeszcze mu dziesięć przy wypłacie oderwał.

Dziewiędziesiąt pozostałych paliły rękę nałogowego pijaka. Wprawdzie miał on po szynkach, gdzie się jego obowiązków domyślano, i kredyt i daremny wódki kieliszek, ale to nie starczyło upadłemu rozpustnikowi który łaknął przysmaków czując choć grosz w kieszeni.

W duszy jego odbywała się walka straszliwa. Miłość rodzicielska, jedyne uczucie, które jak iskra w popiołach tych się uchowało, mówiło mu, nakazywało, aby grosz ten zanieść dla Julka który się podwójną pracą dla utrzymania i nauki zabijał. Nałóg pędził go do szynku. Znał siebie dobrze porucznik i wiedział że raz tam zaszedłszy nie wyjdzie aż ostatni szeląg przepije, obawiał się sam siebie. Chciałby był spotkać co najprędzej syna aby mu oddać te pieniądze bo puściwszy się w drogę do domu czuł że przed pierwszą winiarnią pokusie ulegnie. W tej upadłej istocie było jeszcze coś co ją do świata wiązało, kochał syna i dla niego jednego do ofiary z siebie był zdolnym. Począł myśleć gdzieby go mógł znaleźć i zwrócił się przez Bielańską chcąc go szukać przy Akademij, około której czasem go w tej godzinie znajdował. Myślał nawet wziąć dorożkę aby tém pewniej do miejsca dojechać, ale dorożki na birzy nie znalazł. Poszedł więc pieszo.

O kilka kroków przed nim szły dwie kobiety niosące ciężki kosz bielizny. Idąc za niemi porucznik usłyszał głos który go wielce zadziwił; zdało mu się, że to był głos jego żony, ale cóżby tu robiła po nocy i z tym ciężarem? zbliżył się. Przywykły do podsłuchów z kilku słów się przekonał że kobiety wracały od magła, że jedną z nich była w istocie żona jego, a drugą służąca. Tknęło go to dziwnie gdyż kosz ten zawierał daleko więcej bielizny niżeli jój było w całym domu. Ta wyprawa wieczorna zaczęła go niepokoić, różne myśli przechodziły mu po głowie, na ostatek gdy dochodzili do zawrotu porucznik nie mogąc wytrzymać wybiegł naprzód i grzmiącym

– Stój! zatrzymał żonę. —

Kobieta tak się ulekała że jój z rąk kosz się wysunął i część bielizny wysypała się na ziemię.

– Łapię cię na uczynku! zawołał. Co to jest? gdzie idziecie? jaka to bielizna? gadaj mi zaraz lub...

Kobieta wczoraj tak odważna dziś zdawała się struchlałą, chociaż sumienie nic jój wyrzucać nie mogło. Od porucznika mało można było wydobyć na potrzeby domu i dzieci, biedna żona pracowała ukradkiem aby mieć grosz na wychowanie syna i córki. Taiła się z tém, bo wiedziała że mąż albo by jój nic już nie dawał lub i to jeszcze co miała wydrzećby albo wykraść potrafił. Odkrycie jój lichego

zarobku przeraziło ją, długo stała milcząca potem zaczęła się tłumaczyć jękając niezgrabnie, płacząc w odpowiedziach i utrzymując że chorą sąsiadkę odnosiła robotę za co tamta jej tam coś uszyć czy odrobić miała. —

Trudno zrozumieć dla czego porucznik tą razą ani był natarczywym ani nadto domyślnym, wysłuchał wszystkiego, pokiwał głową i rzekł zbliżając się do żony:

– Ten Julek to się zamęczy, i uczyć siebie i jeszcze zarabiać, a to młode, oh, dodał, trochę tam dostałem pieniędzy, ale żebyś mi całe oddała Julkowi! słyszysz? bo on najwięcej potrzebuje, przysiąże mi...

Kobieta której się to wszystko jakby snem szczęśliwym wydawało, poruszona mruczała wszystkie zaklęcia jakie umiała wyciągając ręce ku porucznikowi.

Ale gdy przyszło wyrwać mu ten grosz na nowo rozpoczęła się walka w jego duszy. Chciał naprzód oddać wszystko, potem zachował dla siebie jednego rubla papierowego i pół rubelka drobnymi, potem zażądał trzech rubli, potem zachował trzydzieści złotych aż żona postrzegłszy to wahanie gwałtem prawie wychwyciła mu cztery papierki trzyrublowe chowając je co najprędzej. Mąż z razu chciał walczyć ale się upamiętał i krzyknął tylko:

– Oddajże w ręce Julkowi, słyszysz!

Kobieta już nic nie odpowiadając pochwyciła za kosz i nie patrząc co się z nim dzieje dawszy znak Kachnie pospieszyła do domu. —

Porucznik stał długo jak wryty na trotoarze, kwaśny był i zły że mu nie pozostało więcej nad dziesięć złotych. Co robić z dziesięcioma złotami gdy się miało projekta tak świetne na wieczrę w porządnej restauracji? Oblizywał się na myśl jedzenia kapłona i polania go dobrą maderą, na to już teraz wystarczyć nie mogło; przeklinając żonę, bo ją był zwykł o wszystko obwiniać, poszedł powoli z postanowieniem wstrzymania się od jadła ale uczestowania obficie dobrem winem.

Uczyniwszy postanowienie utraktowania się porucznik rozrachowywał jeszcze jakby się za te złotych dziesięć mógł najmocniej upić. Czuł bowiem że tą razą żona wymówek mu srogich czynić nie będzie. Pierwotna myśl napicia się wina ustąpiła daleko praktyczniejszej skosztowania wódek i likworów u Lipkaua. Od dawna bowiem porucznik przekonał się że wina są to romanse, a rzeczywistością wódka.

Szybkim krokiem zawrócił się nazad, przebiegł część Długiej ulicy i wpadł na Miodową. Stacya u Lipkaua, naprzeciw Trybunału Apellacyjnego znaną jest wszystkim co kiedykolwiek u bram świątyni sprawiedliwości, wyczekiwać musieli naznaczonej godziny. Obiór tego miejsca dowodzi trafnego instynktu przedsiębiorcy, ale nawet w godzinach w których sądy i kancelarye bywają zamknięte Lipkau ma swych wiernych zwolenników, i ustaloną reputacją. Porucznik znalazł tu jeszcze kilkanaście osób wieczorzających, a że po większej części byli to porządniejsi ludzie, jakoś mu się wstyd zrobiło o tój porze pić tak wódkę samą. Kazał sobie coś podać a tym czasem pod różnemi pozorami zręcznie dochodził do bufetu i coraz z inną flaszki żądał kieliszka. W jednej z tych przechadzek od stolika do flaszek uderzyła go fizjonomija starego człowieka w skromnym ubraniu, który coś jadł na boku i pilnie mu się przypatrywał. Jak to się często po długich latach niewidzenia zdarza, porucznik czuł że gdzieś tego człowieka widział a przypomnieć go sobie nie mógł. Widocznie także ów jegomość nie był pewien czy ma przed sobą znajomego ale bacznie za nim chodził oczyma.

– Co u diabła, Presler czy nie? odezwał się wreście głos od stoliczka.

– Dalibóg to ja! rzekł odwracając się porucznik. Pan pułkownik?

– A ty co tu robisz? byłem pewny że już gdzieś od dwudziestu lat gnijesz w ziemi.

– A! jeszcze nie, rzekł z wielką pokorą i jakby zawstydzony porucznik Presler. Dawno mnie już diabli wzięść byli powinni, ale wolą męczyć żywego.

– No, coż się z tobą dzieje? Od czasu jak cię wypędzili z wojska coś robił?

– A co? panie pułkowniku biedem jadł a bieda mnie jadła. Jako żywo niesprawiedliwie przegnali mnie z pułku a potem już nigdzie człek miejsca zagrzać nie mógł. Zabawiałem się różnym

przemysłem, handelkami, i ot tak, ot tak, życie się przeciułało. Jeszcze na dobitkę trzeba się było człowiekowi ożenić, a baba sekutnica i dwoje dzieci na karku.

Stary człowiek którego Presler nazywał pułkownikiem poglądał na niego z politowaniem, milczał, długo myślał, z pod oka mu się przyglądał i rzekł ciszej:

– Hem, toś pewnie musztry i exercerunku musiał zupełnie zapomnieć?

Tych kilka wyrazów dziwne na nim zrobiły wrażenie, przed chwilą był jeszcze w duszy starym żołnierzem, dwuznaczne te słowa przypomniały mu że został szpiegiem. Poczuł w nich jakąś woń podejrzaną i szybko odpowiedział:

– Ale nie, panie pułkowniku, człek co raz się w wojsku nauczył tego nigdy nie zapomina.

– Aleć to już dawno! rzekł pułkownik.

– Przecie gdyby dziś potrzeba było, dodał tajemniczo Presler, jeszczeby się z karabinem i bagnetem dało rady.

Nic na to nie odpowiedział pułkownik ale się zadumał, potem nagle spytał Preslera, czy nie zechce się czego napić, poczęstował go i wstając od stolika jakby od niechcienia zagadnął o mieszkanie.

Exporucznik (który w istocie był tylko sierżantem) troszkę się zmieszał.

– Eh! to ja tam stoję gdzieś w dziurze, gdzieby tam mnie kto szukał. – Niech tylko raczy pułkownik powiedzieć gdzie stoi a będę na jego rozkazy. —

– Dopytasz się mnie w hotelu Saskim, rzekł i wyszedł żywo.

Rzucone pytanie, przypomnienie charakteru pułkownika i rozgłośnej jego sławy patrijoty obudziły w Preslerze instynkt badawczy; pomyślał że może mu się nadarzyć gratka wyszpiewowania tą razą czegoś ważniejszego niż między czeladzią rzemieślniczą. Z chciwością dzikiego zwierza zapomniawszy nawet o pijackich swych projektach wypuścił pułkownika przodem i wymknął się zaraz za nim śledząc jego kroki.

—

Izdebka którą Julian Presler zajmował pod strychem obok ojcowskiej podobną była do wszystkich mieszkań tego rodzaju – miała jedno okno, z którego niebo, dachy i latające jaskółki widać tylko było. Dosyć wązka i długa mieściła w sobie łożeczko anachorety, stolik studenta i biedny sprzęt człowieka, który jeszcze żadnego gospodarstwa nie potrzebował. Ale to co powiedział Beranger o mieszkaniach na strychu, gdy się ma lat dwadzieścia, prawdziło się w tym ciasnym kątku. Było w nim czysto, wesoło i miło; jakaś poezja młodości wypełniała go i rozświecała. Jak sam Julian był około siebie staranny, tak i mieszkanie jego, pewnym niewyszukanym odznaczało się porządkiem, czuć w nim było spokój duszy młodego człowieka. Jak w tém gnieździe swaru i wrzawy mogło się to młode ptasze z uśmiechem na ustach i pogodą na skroni wychować? to pojąć było trudno, ale miłość rodzicielska tworzy cuda, kochała go matka dla niego pracując i starając się wydać mu taką, aby ją mógł szanować, rozpadał się nad nim ojciec kryjąc przed nim z nałogami, ze sposobem życia i zarobkowania. – Wejście Juliana za każdą razą sprawiało ten sam skutek, ułagadzało umysły, zasiewało zgodę. Julian wychowując się po większej części za domem, bardzo niedokładnie znał ojca i mógł go nawet szanować z daleka. Zresztą Presler był używany do tak podrzędnych usług, że go mało kto znał i domyślał się jego nieszczęsnego powołania. W domu nigdy prawie o wypadkach, o sprawie krajowej mowy nie było, a matka w nieobecności męża nie szczędziła obelg dla Moskali, których w prostym ludowym języku zwała jak wszyscy **kapuśniakami**. Miała ona do nich żal za to zbezczeszczenia męża, które ją z każdym kawałkiem chleba dławiło. —

Wiadomo jaki był w ogóle duch wszystkich zakładów naukowych w królestwie. Mimo starannego doboru nauczycieli bojaźliwych lub obojętnych, mimo niesłychanej czujności i nadzoru, mimo nadsyłanych ksiąg naukowych fałszujących historią i prawdę, młodzież cudownie przechowała narodowego ducha. Nie można tego inaczej nazwać jak cudem. W szkołach Litwy, Wołynia i

Podola, w głębi Białej Rusi studenci wychodzili nieumiejąc po polsku ale najlepszymi Polakami. Objawiał się ten duch często tak wyraźnie, że musiano go karać srodze, ale to go tylko rozrzązało. Do dziś dnia na ławach szkolnych stoją powyrzezywane dziecinnymi rękami imiona tych uczniów, którzy prześladowaniu ulegli. Pamięć ich przechowywała się jak relikwia męczeńska. Owe pamiętne odwiedziny szkół przez cara Mikołaja, w których ten Herod znęcał się nad dziećmi, w śmiałych wejrzeniach niewinności szukając już występku, przeszły jak tradycja przez wiele pokoleń studentów, zagrzewając ich tylko do miłości ojczyzny. Nawet synowie Niemców i Rosyan, dzieci urzędników policyjnych, chłopcy których rodzice żyli z łask rosyjskiego rządu w zetknięciu z tym młodym nie zepsutym światem odżywały uczuciem poczciwym i rosły na wierne dzieci polskie.

Takim sposobem i młody Juljan Presler mógł nie zarażony występkiem ojca iść tą drogą którą szła cała bez wyjątku młodzież nasza. W postępowaniu jój, w przekonaniach były wielkie różnice, wieku, temperamentu, dojrzałości. Najzapalczywszi byli bez wątpienia ci co jeszcze od ziemi nie odrośli, najgorętsze były niższe klasy, za nimi szła szkoła agronomów w Marymoncie, szkoła sztuk pięknych, której uczniowie tak ważną w ostatnich wypadkach odegrali rolę, nakoniec akademie medyczna. Studenci téj ostatniej, którzy byli ziarnem przyszłej Szkoły głównej, ożywieni gorącymi uczuciami przywiązania do kraju, okazali najwięcej wstrzemięźliwości i umiarkowania. Nie odłączyli się oni od narodu, ale stawali często jako żywioł zachowawczy w wypadkach, które zbyt szybko pchały naprzód. – Tę rolę dojrzałą zachowali oni do końca.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.